

Moyi myliyi bdzholy - pieśń na nas czeka

Moyi myliyi bdzholy – “Moje drogie pszczoły” – tak zaczyna się pieśń o pszczołach, którą wraz z dziewięcioma kobietami śpiewała przewodniczka głosowa Paulina Miu Kühling podczas węgajckiego warsztatu *Korzeń pieśni*. “Bardzo życzę ludziom, by sięgali po pieśni tradycyjne, bo są w nich odpowiedzi na wiele pytań. Z naszymi pogmatwanymi osobowościami, pędem i przebudźcowaniem pieśni mają dla umysłu kojący potencjał. Energia zgromadzona przez lata siedzi i czeka na żywy głos, który ją wypełni i poda dalej.” – mówiła po tym wyjątkowym spotkaniu. Z przewodniczką rozmawiają Kala Dobosz i Paweł Lenartowicz.

Chcielibyśmy połączyć historię Twojego życia z tematem warsztatu i poeksplorować różne metafory. Dlatego zapytamy, czym jest i gdzie znajduje się Twój korzeń?

Jest bardzo rozłożysty, ale powiedziałabym, że tu, czyli w Węgajtach, jest korzeń mnie śpiewającej i mnie, która odkrywa ekspresję głosową tak bardzo odważnie. Ale ten pierwszy korzeń jest na Suwalszczyźnie, bo pochodzę z Suwałk. I teraz będąc na emigracji w Berlinie – mieście tysiąca nacji i kultur, odczuwam ten korzeń jeszcze bardziej. On się stał naczyniem na moją moc, która jest tam. Muszę sobie o nim przypominać i oddawać mu uwagę. Jeśli tego nie robię to gubię się w tym, kim jestem. Jeśli na chwilę się zatrzymam w rytmie codzienności i czuję, że się pogubiłam, że coś jest nie tak i czuję się słabo, to medytuję z moim korzeniem. Gram też na bębnie szamańskim i szukam energii w pra pra babkach. Kontaktuje się z nimi, śpiewam do nich, wysyłam im wdzięczność, za to, że w ogóle jestem na świecie. Wtedy ten korzeń rozprasza się na cały świat. To jest taka otchłań wspólnego korzenia wszystkich ludzi, którzy kiedyś przemieszczali się, migrowali... Tak samo jak głosy i pieśni. Miewam takie momenty, kiedy odzywam się do wspólnego korzenia. Daje mi to pewną energię i przywraca pion tożsamościowy.

Prowadzisz warsztaty w Polsce i w Berlinie. Czujesz, że jest jakaś różnica w odbiorze?

Dotykamy czegoś uniwersalnego. Jest jedno źródło narzędzi, które przez te lata sobie sama zbudowałam. Wchodzą w nie różne elementy, np. teatralne, bo byłam przez wiele lat w Teatrze Węgajty. Jako performerka i kompozytorka robiłam też swoje eksperymenty dźwiękowe. Trochę nie ma dla mnie znaczenia, gdzie pracuję, tylko, że robię to po angielsku. Nie odczułam, żeby ludzie inaczej na to reagowali. Czuję, że ludzie naprawdę chcą używać głosu i szukają sytuacji, które wychodzą poza klasyczną „panią przy pianinie”. Mam wrażenie, że istnieje potrzeba szukania korzenia, żeby dotrzeć do mocy głosowej, która jest poza matrycami narzuconymi przez muzykę klasyczną. Istnieją sytuacje, które mogą być bardzo wspólnotowe, np. śpiewanie jednego dźwięku. Korzystam z różnych warsztatów, biorę to, co czuję, że na mnie działa i potem staram się to przekazać dalej. Moje narzędzia się rozwijają i ewoluują.

Dużo rozmawialiśmy na tym warsztacie o naszych oczekiwaniach, o tym, co dostajemy. Masz spory feedback.

Tak. Praca z głosem powoduje, że jeśli ludzie w to wejdą i otworzą się, to bardzo szybko jest szansa na zbudowanie zaufania w grupie i pojawia się mnóstwo potencjałów na rozwój jednostki – przekraczanie i wychodzenie ze stref komfortu. Nie pracuję z profesjonalistami, ale z ludźmi, których to "woła". Chodzi o tworzenie szans. Jeśli chcesz, to możesz naprawdę wejść głęboko i coś sobie wziąć. Zauważyłam, że mówienie jest ważne, ale daję też wybrzmieć ciszy. Mamy podobne

metabolizmu percepcji, jest jakieś przyswajanie, trawienie i wychodzi w ekspresji. Pieśń nabiera kształtu, a osoba czuje się pewniej ze swoim głosem i ciałem. Ja odbieram to jako swój osobisty sukces, jeśli ktoś dzieli się taką historią.

Jak to było u ciebie z pandemią? Czy zmienił się twój głos, twoja pieśń?

Zakokonowałam się w sobie. Czułam, że jest to bardzo cenny czas, nieodpowiedni, żeby dawać głosowy sygnał na zewnątrz. Na początku mi tego brakowało. Poszłam w małe i ciche, wewnętrzne eksploracje. One okazały się bardzo cenne. Dodały nowego wymiaru i przestrzeni, kiedy znowu można było być z ludźmi i głośno śpiewać. W międzyczasie próbowałam też pracy na Zoomie. Jest to inna forma, nie czujemy wibracji, nie ma drugiego człowieka, który jest tu i teraz. Dostałam dużo pozytywnych informacji zwrotnych o tym, że ten czas wspólnego śpiewania jest cenny. Ale najcudowniejsze jest doświadczenie bycia z człowiekiem na żywo – słyszeć się na żywo w danej przestrzeni. Śpiewanie stało się gatunkiem ekspresji zagrożonym przez pandemię. Okazało się, że jest ogromny głód i zapotrzebowanie na śpiewanie. Z jakiegoś powodu śpiew przetrwał, a przecież ani nas nie chroni, ani nas nie karmi. Jest to taki klej dla wspólnoty. Chcemy tego śpiewu i tęsknimy za nim.

Mogłabyś opisać jakiś projekt, doświadczenie z pieśnią, które pozostawiło w tobie największy ślad?

Cieężko wybrać, ale najwięcej odkryć miałam podczas budowania spektakli w Węgajtach. Na pewno pierwsza wyprawa Alilujkowa, czyli kolędowanie wielkanocne na Suwalszczyźnie. Może gdybym miała coś wybrać to właśnie to, bo uczyłam się pieśni z mojego regionu. Alilujka jest praktykowana we wsi Dziadówek. To śpiewanie dla ludzi, nawiązywanie relacji poprzez śpiew, witanie wiosny, przynosimy ją ze śpiewem. Lu- dzie nas witali, częstowali tym, co mieli po świętach, to było cudowne. Śpiew budował kontakt tu i teraz – ja daję, ty bierzesz. Jest spotkanie, ktoś mnie słucha, ktoś mnie bierze do tańca, jakaś babcia z nami śpiewa, bo zna tę pieśń. Tutaj ten śpiew jest dla wszystkich i to było najważniejsze doświadczenie. To ekspresja absolutnie inkluzywna. Zaśpiewasz nawet jedno słowo i już jesteś częścią tej społeczności. Dlatego się tym zajmuję.

A co zrobić z dźwiękami, które są nieprzyjemne? Czy są jakieś dźwięki nieprzyjemne w twoim życiu?

To jest olbrzymi temat – ekologia akustyczna. Dla mnie wielowarstwowa tkanka miejska to są takie brudy dźwiękowe, które powodują kakofoniczne, obciążające sytuacje dźwiękowe, do których nasze ucho może przywyknąć. Kiedy przyjeżdżam do Berlina czuję, jak moje uszy współpracują z tym pejzażem dźwiękowym. Czuję jakąś ekstazę. Moje uszy są w szoku, ale zaczęły się dopasowywać, ufać. Odetchnęły. Jeśli chodzi o głosy, które fałszują, to jest tak, że ktoś jest gdzieś pod dźwiękiem czy ponad dźwiękiem i z jakiegoś powodu nasze ucho tak się rozwinęło, że to jest nieprzyjemne. Wierzę, że jednostka, która jest nad czy pod dźwiękiem, chce z nami być i wierzę, że jej ucho też się dostroi. Wiele razy mi się to sprawdziło. Tutaj pojawia się psychologiczny wątek dostrojenia do grupy. Wierzę, że jeśli to nie są jakieś defekty fizjologiczne uszu czy gardła, to można się wczuć i zaśpiewać czysto z grupą. Ta grupa daje motywację, żeby zaryzykować.

Ta otwartość na dźwięki i innych ludzi, takie zaufanie, to przyszło z Węgajtami?

Tak, chyba Węgajty. Byłam wcześniej w różnych zespołach, ale były one bardziej techniczne. Czułam wtedy ten potencjał, pojawiły się załączki, ale nie miałam jeszcze punktu odniesienia. W Węgajtach to rozkwitło. Poznałam jak jest zbudowana praca teatralna i głosowa. Zaskoczyło mnie to, że kiedy uczymy się pieśni, to nie dostajemy kartek z pieśniami, tylko Wacek z Mutką nagle zaczynają śpiewać pieśń, a ludzie sami dołączają. Oczywiście później było spisywanie tekstu z ich notatników, ale oni do niczego nie zmuszali. Nie było też oceny tego, kto się nauczył, a kto nie do końca. Kiedy ktoś chował, to był zachęcany, Wacek podchodził, próbował podawać głos, budowała się relacja. Ludzie, którzy się sami określali jako nieśpiewający zaczęli śpiewać. I wcale nie fałszowali. Tak zaczęła się moja obserwacja jak można pracować bez elementów przemocowych, naciskowych z taką materią artystyczną.

A jaka jest twoja relacja z pieśnią którą śpiewasz?

Bardzo różna. Pieśń traktuję jako dźwiękowy organizm. Czasami przychodzi od człowieka, innym razem znajduję ją sama. Nie każda pieśń mnie wciąga. To czasem jest kwestia tekstu, czasem melodii. Teksty powodują we mnie refleksje o ludziach, którzy je śpiewali. Ktoś je układał z natury, od ptaków, deszczu, szumu wiatru w liściach. Ci bardziej odważni, ci którym to łatwiej wychodziło, układali te pieśni, potem inni coś do nich dokładali. Pieśni powstawały też przy okazji rytuałów ważnych dla społeczności – pogrzebów, żniw, wesel. Dla mnie tekst niesie ze sobą energię człowieka lub społeczności, która za nim stoi. Czasem odnajduję w nich swoją historię, swoje doświadczenia życiowe. To cudowne uczucie, które jeszcze bardziej mnie napędza. Czasem też wkr da się w to wątek terapeutyczny. Mam wtedy z pieśnią bliską, prywatną relację. Kiedy melodia jest ważniejsza, tekst jest ciekawym wypełnieniem. Czasami tekst jest w innym języku, czasem ktoś mi go przetłumaczy, innym razem go nie rozumiem, ale mogę się pod taką pieśń podłączyć energetycznie. Sprawia mi ona przyjemność i mogę z nią pracować.

Myślisz, że pieśń czy dźwięk może leczyć? Nasze warsztaty czasem wymagały bardzo dużych pokładów energii.

Zdecydowanie, jest tam aspekt lekarstwa, może lepsze słowo – medycyny. Istnieje pojęcie medycyny pieśni – jeżeli śpiewasz, to się dotleniasz, obniżasz sobie poziom stresu, zaczyna się produkcja hormonów szczęścia. Jeżeli prawidłowo oddychasz, przy pomocy przepony, to jest bomba zdrowia dla organizmu. Ale nie chodzi tylko o ciało. Kiedy śpiewasz nabierasz pewności siebie! Manifestujesz coś światu, dajesz znak. To bardzo mocny gest, który ma walor uleczenia psychicznego, wyjścia ze skorupy ślimaczka. Śpiewając – nie boisz się. Nie możesz odczuwać lęku, kiedy śpiewasz. To są sprzeczne emocje. Nie mogę śpiewać, kiedy się boję, śpiew jest po drugiej stronie. We mnie wtedy regulują się wszystkie przestrzenie. Dodatkowo dochodzi aspekt ludzki. Czuje się niesamowitą moc wspólnoty i ta wibracja, która wchodzi, stanowi masaż dla każdej komórki ciała. Kiedy śpiewamy możemy poczuć się bezpiecznie, poczuć się dobrze, zakorzenić się w tym. Ale umówmy się, zdarzają się bardzo nieprzyjemne i stresujące sytuacje, kiedy musimy się szybko nauczyć jakiejś pieśni, na przykład do spektaklu.

Jesteś akuszerką, wyciągającą z ludzi różne emocje pozytywne energie, czasami też te ciężkie, różne napięcia. To wszystko udało się doświadczyć w czasie tego krótkiego warsztatu. Równie często pewnie obserwujesz też kulturę. W związku z tym, podsumowując nasze spotkanie. Czy myślisz, że jest perspektywa na to, że śpiew będzie kultywowany nie tylko w takich enklawach jak Węgajty.

Tak mi się wydaje, jeżeli mogę ocenić popandemiczną sytuację. Muszę przyznać, że w czasie pandemii mocno się odbodźcowałam, jeśli chodzi o obserwowanie kultury. Był taki moment, w którym bardzo zaczęły mnie męczyć wydarzenia online. Nie chciałam już wiedzieć, co kto robi i gdzie – czy w Polsce czy w Niemczech. Ale tak jak to widzę, czy może trochę bardziej przeczuwam, mam wrażenie, że to zainteresowanie śpiewem nawet wzrasta. Jest taki głód na śpiew, na społeczność, która śpiewa, która brzmi. Ludzie mają ochotę się zanurzać. Kojarzy im się to z czymś bardzo pozytywnym, z doświadczeniem, na które jest zapotrzebowanie. Śpiew może być lekarstwem na różne popandemiczne symptomy. Ludzie bardzo cierpieli, wielu przeżyło gehennę w tym zamknięciu. Chciałabym, by takie wydarzenia "dostępne głosowo" były i się pojawiały. Mam wrażenie, że ludzie się trochę otworzyli i chcą śpiewać. A miałam taki lęk, że już nikt nie przyjdzie na warsztaty śpiewu. Bo jak to?! Emisja śliny! Ale nasze potrzeby są silniejsze, tak mi się wydaje. Zateśniło się za tym. Ludziom zaczęło brakować kontaktu. Bardzo im życzę, by sięgali po pieśni tradycyjne, bo są w nich odpowiedzi na wiele pytań. Z naszymi pogmatwanymi osobowościami, pędem i przebodźcowaniem pieśni mają dla umysłu kojący potencjał. Energia zgromadzona przez lata siedzi i czeka na żywy głos, który ją wypełni i poda dalej. To jest w nich najpiękniejsze i tego Sobie i Wam życzę!

Kala Dobosz i Paweł Lenartowicz